

# Uzdrowiające błoto

## odkryte w tajdze syberyjskiej

Było to na jesieni. Myśliwiec, należący do jednego z plemion mongolskich, zamieszkujących tajgi syberyjskie, polując, postrzelił jelenia. Biedne zwierzę, uciekało krwawiąc, a myśliwy biegł za nim. Mimo rany, jelen uciekał szybko, a myśliwy, wiedziony jakimś dziwnym uczuciem litości, nie strzelił do zwierzęcia po raz drugi, kiedy ujrzał je znów za krzewami. Jeleń biegł dalej po nieznanym terenie, pokrytym jakby mulem, w którym grzęzły nogi. Była to dziwna okolica, której mongol nie znał jeszcze dotychczas. Ku swojemu zdziwieniu zauważył, że jelen zaczyna zwalniać biegu i obwąchiwać ziemię. Było to tak niespodziewane dla starego myśliwca, że postanowił poczekać, co będzie dalej i aby nie spłoszyć zwierzęcia, ukrył się za drzewem.

### CUDOWNE WYZDROWIENIE

Ukryty za drzewem mongol stwierdził ze zdumieniem, że jelen bnie dalej w miękkim błocie i że w pewnym momencie zaczyna zdrową przednią nogą rozkopywać w błocie dół. poczem, kiedy wytworzyła się dość spora jama, jelen położył się w niej i zanurzył prawie po grzbiet. Mongol nie wychodząc z podziwu, czekał, co będzie dalej. Oczekiwanie przebiegało się przez cały dzień, myśliwiec błądził po okolicy, żywił się upolowanym ptactwem, które piekł sobie nad ogniem i ciągle powracał do leżącego w błocie jelenia.

To trwało dwa dni. Na trzeci dzień jelen podniósł się, wydobył się ze swojej błotnej jamy i, jak się okazało, rana na jego nodze była już zagojona i jelen w rzeźkich podskokach pomknął w głąb tajgi.

W dwa tygodnie później, kiedy te sam myśliwy zranił lanie, spostrzegł, że lania biegnie tym samym szlakiem, którym biegł zraniony jelen, i że także dąży do znanej mu już błotnistej okolicy. Kiedy przybiegł na miejsce, śliczne zwierzę spoczywało także zagrzebane w błocie i spoglądało na niego błagalnie oczami młodej dziewczyny. Myśliwy wzruszył się i znów czekał, co będzie dalej. I znów na trzeci dzień, jakby w cudowny sposób uzdrowiona, lania wydobyła się z błota i pobiegła dalej.

Podobny wypadek zdarzył się również innemu członkowi plemienia. Mongol ten w okresie zimowym postrzelił dziką. Zwierzę mimo rany, uciekało, a myśliwy trafił na jego ślad dopiero po

dwóch dniach. O dziwo, znalazł go także zagrzebanego w błocie, o którym opowiadał mu jego współplemieniec. Ten jednak, członek plemienia Oronczonów, nie wykażał tak miłego serca i strzelił do zwierzęcia. Kiedy potem wydobył zwłoki dzika z błota, okazało się, że pierwsza rana, którą mu zadał przed dwoma dniami była prawie zupełnie zagojona.

### PRZECIWI ŚMIERCI

W plemieniu mongolskim, które zamieszkuje okolice tego dziwnego, błotnistego terenu, panuje prawo skazujące ludzi starych i nienadających się do pracy — na śmierć. Muszą umierać, kiedy nie mogą już zapracować. Takie jest prawo życia w tajdze, że nikt nie może być ciężarem dla drugich. I taki właśnie los czekał starego ojca owego myśliwca, który wtropił jelenia i lanie, leczących się w cudownym błocie.

Kiedy przyszedł taki dzień, że staremu mongolowi nogi odmówiły posłuszeństwa, kiedy człowiek ten, który widział 70 razy odlot jesienny ptaków — powinien był według prawa tajgi rozstać się z życiem, — synowi jego błysnęła myśl — jeśli dobroczynne błoto uzdrowić mogło zwierzęta, dlaczegoż nie miałoby uzdrowić człowieka? Sporządził wobec tego rodzaj sań, na których przewiółki bezzębny starca na teren dziwnego błota. Stary mongol był pewien, że syn wywozi go do lasu, żeby zostawić go tam na pastwę śmierci głodowej, jak to przysięga jest w zwyczaju. Tymczasem ze zdumieniem przekonał się, że syn

umieścił go w jamie błotnej, otaczając drewnianym rusztowaniem, które chroniło go przed zatonieniem. Przez dwa tygodnie myśliwiec trwał przy pogrążonym w błocie starcu i żywił go upolowanym ptactwem, a po dwóch tygodniach stary mongol, którego nogi były dotychczas bezzębne, wydobył się z błota i o własnych siłach, wspierając się tylko lekko na kij, powrócił do wioski.

### RADA WOJENNA

Ale cudowne działanie błota w dalekiej tajdze docenił dopiero pewien czerwonoarmieje, nazwiskiem Stiepan Dementiew. Dementiew raniony był w roku 1921 w czasie walk z kontrrewolucjonistami. Szpital, w którym go umieszczono, wkrótce zlikwidowano, a ponieważ Dementiew dostał postrzał, wskutek którego stracił władzę w nogach, nie wierzono w nadzieję utrzymania go przy życiu i postanowiono zostawić go w wiosce, zamieszkaanej przez plemię Oronczon, gdyż wtedy właśnie prowadził szlak armii czerwonej. Kiedy w parę dni później ranny Dementiew obudził się, ujrzał wokół siebie nie lekarzy i sanitariuszy, lecz płaskie, skośnoogie twarze. Twarze były życzliwe i przyjaźnie uśmiechnięte. Miejscowy szaman zbadał ranę Dementiewa, pokłapał głową nad bezwładnością jego nóg, poczem prawie całe plemię wzięło udział w wielkiej naradzie. Dementiew nie rozumiał naradczą, nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi. Z wielkim zdumieniem i przerażeniem jednocze-

śnie przekonał się następnie, że kładą go na noszach i niosą daleko, w głąb tajgi, poczem, nie zwracając uwagi na jego protesty, z dobroczynnym, przyjaznym uśmiechem zakopują go w grzązkie błoto. Ale zdumienie jego było jeszcze głębsze, kiedy przekonał się, że zamiast zostawić go, jak przypuszczał, na pastwę śmierci — otaczają go wielką troskliwością i dostarczają mu pożywienia. Z wielkim trudem na migi wytłumaczył mu, wskazując na nogi, że błoto może go uleczyć. Widząc ich przychylne zamiary, krasnoarmieje, Dementiew, uspokoił się i cierpliwie oczekiwał końca kuracji. Kiedy po upływie tygodnia wydobyto go z błota, stwierdził z radością, że rana jest zagojona i że może chodzić.

Tak więc krasnoarmieje, Stiepan Dementiew, został przywrócony życiu.

### UZDROWISKO W TAJDZE

W jakiś czas potem do dalekiej tajgi, gdzie żyją skośnoogie, pocziwi myśliwcy, powrócił krasnoarmieje Stiepan Dementiew. Powrócił jako inżynier, gdyż po wyzdrowieniu pojechał do Moskwy i tam odbył studia politechniczne. Kształcił się cały czas, rozmyślając o dziwnym błocie w tajdze. Doszedł do wniosku, że należy co prędzej wykorzystać cudowne właściwości błota tamtejszego i że należy urządzić tam uzdrowisko. Tak więc, być może, w dalekiej tajdze powstanie wspaniały kurort podlegający, leczący rany, jak i schorzenia reumatyczne.



## Temat jakiego nie było

— Muszę dostarczyć pewnej wytwórni scenariusza a brak mi tematu — zwierzył mi się pewien młody autor, — gdybyś mi podał jakiś oryginalny pomysł, to byłbym ci bardzo zobowiązany, ale musiałoby to być coś zupełnie nowego.

— Mam pomysł — odrzekłem — z którym się oddawna noszę, posłuchaj: Pewnemu młodzieńcowi spodobała się panna...

— Oboje piękni, on brunet a ona blondynka... — wtrącił młody autor.

— Nie, bynajmniej, oboje brzydacy on wytłuszczył blondynę a ona nie modnie ubrana szczupłą brunetką, utykającą z lekka na prawą nogę.

— No... to ciekawe... i co dalej? — Poznali się na...

— W pociągu, podczas katastrofy... — przerwał mi autor.

— Nie, bynajmniej, poznali się na herbatce u państwa Kolasin-skich.

— Doskonale! Ten Kolasinski, to handlarz narkotykami?

— Nie, solidny urzędnik 9-ej kategorii. Otóż młodzi ludzie poznali się na herbatce i od tego czasu on poczęł jej asysetować.

— Wiem do czego zmierzasz — przerwał mi autor — młodzieniec pewnie należy do szajki handlarzy żywym towarem, to już było...

— Mylisz się — rzekłem — młodziem jest porządnym urzędnikiem bankowym.

— Aha, rozumiem, pewnej nocy zaczają się w banku, morduje kasjera i okradają...

— Nikogo nie morduje ani nie okradają, przeciwnie jest spokojnym człowiekiem i pozbawionym fantazji.

— No no... to ciekawe, i co dalej?

— Otóż młody urzędnik banku

zakochał się w owej pannie...

— Aha, domyślam się, to ona jest w spółce z kasjarzami...

— Nic podobnego, to zgruntu uczciwa panna, pracuje jako nau-cielka. Młody urzędnik zyskuje jej wzajemności, oświadcza się o jej rękę i zostaje przyjęty.

— Aha, a potem okazuje się że oboje są bigamistami?

— Wcale nie, on jest kawalerem a ona panną.

— Co mówisz?! To bardzo ciekawe.

— Po roku przechodzi na świat dziecko.

— Domyślam się dziecko jest nienormalne — co daje początek przyszłej tragedii...

— Bynajmniej dziecko jest najnormalniejsze w świecie, waży 5 kilo.

— Hm, to bardzo interesujące, oczywiście bachor ginie w tajemniczy sposób...

— Wcale nie ginie, przeciwnie chowa się zdrowo, chodzi do szkoły i wyrasta na dzielnego urzędnika, 8-ej kategorii.

— A wiesz, że to bardzo oryginalne czegoś podobnego jeszcze w kinach nie wyświetlano, co za napięcie zaciekawienia, no i cóż dalej?

— Dalej, uważasz, rodzice starają się a syn, oszczędny pracą dododochodzi do małego kapitaliku i kupuje domek...

— Czy chcesz zrobić pożar?

— Wcale nie, domek jest zbudowany z materiałów niepalnych. Po pewnym czasie syn żeni się z miłą panną...

— Rozumiem, ona dopiero wprawdzie rozłam w to całe stado.

— Przeciwnie to miła i spokojna osoba nielotko, że wprowadza zadanego rozdźwięku, ale przeciwnie żyje z rodziną męża w bardzo miłej harmonii...

— No wiesz, to niebywałe! Znał komuś temat jakiego jeszcze nie było!

Przyjaciel mój uściślił mi rękę z wdzięcznością i popędził czempredcej napisać ten oryginalny i jedyny w swoim rodzaju scenariusz.

Jur.

# Gołąb-szantażysta

## Niezwykła przygoda wiedeńskiego fabrykanta

W tych dniach usiłowano w Wiedniu dokonać szantażu w sposób dość oryginalny, gdyż za pośrednictwem gołębia. Do mieszkanka jednego ze znanych fabrykantów wiedeńskich przysłało klatkę z gołębiem. Gołąb miał do nóżki przyczepiony list, w którym nieznanemu autor domagał się sumy 10.000 guldénów. W liście zaznaczone było, że suma, składająca się z banknotów 500-guldénowych, ma być włożona do koperty i przycepić do nóżki ptaka. Warunek biletów 500-guldénowych wylumaczony był w ten sposób, że nie należy ptaka obciążać większym pakunkiem. Ponadto list zawierał groźbę, że jeśli właściciel fabryki nie wyśpiędniję natychmiast ptaka z żądaną sumą, może spodziewać się jaknajgorszych konsekwencji swojego po-

stępu, gdyż pod całą jego fabrykę podłożony jest dynamit i w razie niezadośćuczynienia żądaniu lub też zwrócenia się do policji, cała fabryka wyleci w powietrze.

Jednakże fabrykant zwrócił się do policji wiedeńskiej i stosownie do

## Krowa rozoruła brzuch kobiecie

TARNÓW, 21.6. Niecodzienny wypadek wydarzył się we wsi Tarnowiec, pod Tarnowem. Oto 40-letnia Maria Konieczna, żona em-kolejarza, pasła krowę, która w pewnej chwili rzuciła się na nią, przyczem rogami rozoruła jej brzuch i poraniła. W stanie groźnym przewieziono ją do szpitala powszechnego w Tarnowie.

radę urzędu śledczego istotnie przyczepił do nóżki ptaka pakietek, zawierający papier zamiast pieniędzy. W jednym tylko nie zastosował się do życzenia wyrażonego w liście, a mianowicie ptaka wypuścił na wolność nie z okien swego mieszkania, lecz na lotnisku, a w ślad za odlatującym gołębiem wznosił się w powietrze myśliwski samolot, śledzący bieg lotu ptaka. W ten sposób stwierdzono, kto był autorem listu, szantażującego fabrykanta. Jak wyjaśniło śledztwo, ptak wpadł do mieszkania jednego z robotników fabryki, a list, jak się okazało, napisany był zbiorowo przez grupę robotników, którzy dręcząc szantażu chcieli zdobyć sumę 10.000 guldénów. Pozatem fabryka, nie była wcale podminowana dynamitem.

Antoni Marczyński

99

# Zemsta Hindusa

## Powieść egzotyczna

Wolną ręką chwycił się preta, łączącego górny płat lewego skrzydła samolotu z dolnym i, zyskawszy w ten sposób dość pewny punkt oparcia, zaczął windować lotnika na górę. Szło to bardzo opornie, gdyż jama nie miała już kształtu zwykłego leja, jej ściany były niemal pionowe, najwidoczniej gościli tu dawniej jacyś żołnierze i łopatkami przerobili lej na prowizoryczny schron. Nadmiar złego lotnik, mając zlamaną nogę, mógł w ściankę dołu wbić tylko jedną stopę, by wyrzeźbić sobie w ziemi stopnie. Lecz wkońcu po obopólnych, heroicznych wysiłkach wy dostał się na wierzch.

— Ccccc! Ccccc! Bzz! Bzz!

Obydwa wiedzieli, że jeśli kula syca: „Bzz!”, to przelatują najbliżej ucha, więc rozplaszczyli się na ziemi copredzej. Czyżby Niemcy ich zauważyli? Dzięki Bogu, nie, kule śpiewały znów wyżej: Tsss! Sss! Ss! S!

— Teraz w nogi!

Oczywiście na czworakach, ale więcej na brzuchu. Prakasza już nadbrał w tem wprawę, zato lotnik... zapewne z winy tej nogi... guzdał się, jak ślimak. Wiatr zdawał się słabnąć.

— Predzej, człowieku. Jeśli teraz puszczą gaz, zginiemy!

Lecz Niemcy zwlekali, może chcieli odczekać, aż Szkotom sprzykrzy się ciągłe wystrzeliwanie rakiet i oblok śmierci — będzie mógł podejść do okopów wojsk sojuszniczych niepostrzeżenie? Lub wiatr był jeszcze za silny?

A tamci dwaj wciąż czolgali się ku swoim, lotnik na przedzie, popychający go Hindusa tuż za nim. Wreszcie zagroziła im drogę

gmatwanina koleczastych drutów. To pierwsze zasieki. Ale gdzie przejdzie? Prakasza oznaczył je przedtem swą opaską z czerwonym krzyżem. Czyżby ją wiatr zerwał? Nie, na szczęście, nie, tylko trochę zboczyli z drogi. Trochę, bo zaledwie o dziesięć metrów, lecz, to równało się kilkunastominutowej zwłoce, gdyż lotnik pełzał ostatkiem sił. W prześlepiu pod drutami Prakasza musiał go wlec za sobą i tak wydostali się na dość wąski pas ziemi pomiędzy pierwszym, a drugim rzędem zasieków. Wąski był ten pas, ale najgorzej zryty pociskami. Okrażenie lejów, do połowy napełnionych wodą pochłaniało przy tem pełzaniu moc czasu. W dodatku groziło i to, że któryś strażnik weźmie ich za patrol nieprzyjacielski i kropnie w nich ręcznym granatem. Aby zabezpieczyć się przed taką niespodzianką, Prakasza oznajmił się stłumionym okrzykiem, poczem wymienił hasło.

— Ach, to ten sanitet.

— Aleś długo siedział.

— Lotnik żyje? — spytał ktoś trzeci.

— Żyje, żyje, zaraz go zobacz. A to pech!

— Co? Co się stało?

— Zemda! Pomóżcie mi go przenieść.

Niewiadomo, czy kto usłyszał to wezwanie, bowiem w tej samej chwili znowu przemówił kulomiot, tym razem swój. Rad nie rad Prakasza musiał radzić sobie sam. Po mokrej, śliskiej trawie byłoby się wlokło zemdlałego dość lekko, gdyby można było wstać i ciągnąć go stojąco. A tu jak na złość iluminacja rakietami osiągnęła punkt kulminacyjny.

— Powarjowali Szkoci, czy co? — zżymał się. — Nibyto słyna z oszczędności, tymczasem teraz... — urwał i ścierpił, zdrgnął.

W okopach angielskich zabrzmiiała trąbka, potem dęgi, trzęcia. Był to znak, że w świetle rakiet dostrzeżono pierwsze obłoczki oparów chlorowych. Był to sygnał śmierci. Był to rozkaz odwrotu, pożąda-

nego ze względu na to, iż wówczas sojusznicy nie posiadali jeszcze masek przeciwgazowych i nie mieli innego sposobu zabezpieczenia swoich żołnierzy przed niepotrzebną rzezią.

— Te, sanitet, wiej, bo gaz!

W świetle ostatnich rakiet Prakasza dojrzał przejdzie w drugim rzędzie zasieków. Było dość szerokie, mógł je przebyć na czworakach bardzo szybko i połączyć się ze swoimi. Nie miało sensu narażać życia dla lotnika, który, być może, już skończył, albo miał parę dni męczarni w szpitalu przed wyjazdem na tamten świat... A jeśli nie? Jeżeli on tylko zemdał i mógł żyć? Żyć i być nadal zwycięzcem swoich dzieł, które marnieją bez niego?!

Całe to wahanie trwało najwyżej trzy sekundy. W ciągu tego czasu umilkł kulomiot, zgasły pozostałe rakiety, w pierwszym rowie strzeleckim zadudniły kroki uciekających Szkotów. W ciągu tego czasu morderczy gaz mógł przebiec piętnaście metrów!

— Wszystko jedno, ja tego nieboraka zostawię tu nie mogę.

Zaledwie powziął tę bohaterką decyzję, zawołano go imieniem; to inni dwaj sanitariusze hinduscy, którzy czekali z noszami po drugiej stronie przejdzie, przynagłali towarzysza do pośpiechu.

— Predzej, predzej, bracie, wszyscy już zmykają.

— Latarkę, — zażądał, gdyż nie puszczano więcej rakiet i ciemność stała się tem gęstsza. — Daj pas, trza przetaskać lotnika na...

— Prakasza, zostaw go i uciekaj z nami.

— Stać, tchórze!... Zdażymy jeszcze uciec. — dodał łagodniej.

Niebardzo w to wierzył, iż zdażą, ale cóż... Wspólnymi siłami przeciagnęli zemdłego na drugą stronę zasieków, złożyli go na noszach i ruszyli w drogę, podrapani przez druty koleczaste, zaniepokojeni ciszą, jaka tu zapanowała nagle i samiliczący. Prakasza biegł na końcu. Trzymając elektryczną latarkę jak najniżej, kierował jej światło ukośnie w dół, pod nogi swoich dwóch kolegów. Dzięki temu nie potknęli się dotychczas, zato on...

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.61 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.53 (międzynarodowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zrzed 691.64; Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz: Aleja Józefina 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Wrocław: Czerwona 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa wraz z cotygodniowym dodatkiem literackim „Prosto z Mostu” zł. 2.90 miesięcznie; wraz z dodatkami Sienkiewicza zł. 3.90 miesięcznie.

## Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalaty): na 1-ej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. Lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wiersz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.